

Szostakowskie zabawy z opisywaniem pozostawiają nam dwie główne interpretacje: oniryczną i impresyjną. Ci bardziej przywiązani do rzeczywistości mogą przyjąć, że cała narracja jest snem – pozostaje zastanawiać się czym. Ci, którzy nie wierzą w jednoznaczność przekazu, mogą zaryzykować tezę dalej idącą i niewykluczającą poprzedniej – świat postrzegamy wedle swojego nastroju. Nawet najbardziej niewrażliwy na impresjonizm mężczyzna ma czasem tak, że chodząc ulicami rodzinnego miasta, jednego dnia widzi same piękne, młode, roześmiane dziewczyny, a innego dostrzega jedynie szarych, zmęczonych ludzi. Czy to świat się zmienia, czy nasze oglądanie? Czy jest jeden Kraków, czy tyle Krakowów, ile obserwacji przetworzonych przez ten subiektywny odbiornik, jakim jest człowiek? Czy jeżeli zamieszka w nas ukojenie, to po Rynku Głównym zaczną pływać gondole? A jeżeli wkradnie się niepokój, to na Floriańskiej ustawią barykady?

Życie na jawie to nierozzerwalne małżeństwo świata na zewnątrz ze światem wewnątrz. Sen nie potrzebuje tego pierwszego.
Muzyka, ludzie, pamiątki, słowa.
Wszystko mieści się w środku.
Ja.

Krzysztof Głuch

Animacja, czyli uduszenie

Kacper Bartczak
Życie świętych ludzi
Wydawnictwo Kwadratura
Łódź 2009

Dzisiaj książki hagiograficzne już nam nie grożą. Przynajmniej nie na taką skalę, aby zatwardziały grzesznik nie sięgnął po książkę pod tytułem *Życie świętych ludzi*. Bez obaw, Kacper Bartczak proponuje kadry z życia człowieka, który nie jest doskonały i który taki być po prostu nie jest w stanie.

W opisywanym świecie znaleźć można całą paletę niedoskonałości, choć to wcale nie znaczy, że jest on zły. Iluzje, złudzenia optyczne, determinizmy nawarstwiają się jak fałdy obrusu, które tworzą osobliwy ornament, ciekawe poprzez zakłócenie na monotonnej powierzchni stołu. Taką właśnie ozdobą jest u Bartczaka człowiek – powstały z zakłóceń i nieistniejący bez nich.

W pierwszej z dwu części tomiku głównym źródłem obserwowanej dyfrakcji jest narzucony wzorzec społeczno-kulturowy, a dokładniej paradygmat zachowań masowych.

„[...] Ta emfaza z jaką publiczność pasuje do swoich eleganckich ubrań i gestów oscyluje nieskończenie szybko między tym co chce powiedzieć aktor i co mówi [...] Niektórzy z nas uciekną w codzienne pantomimy a inni zlekceważą problem”

[Nieistniejąca pocztówka, s. 7]

Swoista alternatywność rzeczywistości, w której ludzie uczestniczą, podobna jest do tej, z którą mamy do czynienia w performansie, z tą różnicą, że „występy” u Bartczaka są szkatułkowe – jeden wynika z drugiego i wzajemnie się napędzają. Zresztą zależność ta widoczna jest w obu częściach książki. Cytowanie jednego wiersza przez inny jest jednym z głównych chwytów zastosowanych w *Życiu...*

Niestychaną rolę odgrywa tutaj proces unaoczniania – ustawianie scenografii i rekwizytów staje się kolejnym pretekstem do wskazywania na ich różne niedociągnięcia. Epitet „jakiś” patronuje didaskaliom zawartym w tomiku. Umyślne niedopracowanie otoczenia wpływa oczywiście na postaci w nim się pojawiające – są one przeważnie nieokreślone, zarysowane (jeśli w ogóle) najwyżej jedną charakterystyczną cechą, czynnością, której się poddają. Rzadko zresztą są to bohaterowie pojedynczy. Przede wszystkim pojawia się masa, a w grupie – która nigdy przecież nie jest jednorodna – pewnym szczegółom trudno dokładnie się przypatrzeć, czasem ich dostrzeżenie jest wręcz niemożliwe. Tłum zakłada niejako bezszczegółowość, w pewnym sensie oszczędność środków. Przykładowo, jeżeli statyści idący wewnątrz gromady (mając na sobie ciemne skarpetki) nie ubiorą butów, to – bez odpowiedniego wykadrowania – nikt tego nie zauważy.

Można odnieść wrażenie, że Bartczak w ten sposób żartuje sobie z ludzi. Dopuszcza się podobnych niedomknień całkiem świadomie. Tymczasem, jakby na przekór, w wierszach zauważyć można tendencję do organizowania przestrzeni zamkniętych, choć w istocie naprawdę pozornie skończonych:

„Usłyszał, że wszystko co widać jest jak wiadomość która napływa o fiasku negocjacji toczonych za zamkniętymi oknami [...] Pytaj dalej

czy budynki stoją w rzeczywistości w której są zastane A jeśli tak to czemu niebo zawsze się odrywa a światło w ścianach płynie jasną żyłą i przywodzi na myśl treść [...]”

[Wolni od szczęścia, s. 19]

Niedoskonałość kojarzona jest z treścią, słowem. Język, który na scenie przepoczwacza się w gest, odkleja się od tego, o czym mówi. Przedstawiane i obserwowane sytuacje stają się osobnymi bytami, działają na własną rękę – „sytuacje robią na nas kokosy”, jak stwierdza podmiot w wierszu Gramatyka żywienia (s. 31), zamykającym część pierwszą. Człowiek przekształca się w przedmiot czynności. Utwór ten istotny jest również z innego powodu. Wprowadza nową perspektywę w kilku słowach: „A teraz ci / których niewiedza wypełnia nam mikroubywanie / śpią w otoczeniu najlepszych rzeczy”. Ludzie kurczą się, masa rzednie, a to, co z niej zostaje, można sprzedać.

Część druga poświęcona jest determinizmowi fizjologicznemu. Pojawiają się kategorie znane z ekonomii, fizyki, biologii, chemii. Przeżycia duchowe czy intelektualne sprowadzone zostają do chwytliwego cytatu, który z trudem się przebijają przez wzbogaconą terminologię:

„Wyszedłem i błyskawicznie
się skupiłem w rozproszeniu na ulicy z prochu
i słów powstałych z bełkotu z bełkotu zwanego
życiem
w pośpiechu się obrócisz [...]”

[Teoria wplatomatu, s. 37]

Nie znaczy to oczywiście, że człowiek fizycznie został zdegradowany do towaru lub materiału doświadczonego. Bardziej chodzi o to, że wewnątrz człowieka stało się domeną ciała, a nie szeroko rozumianych wartości abstrakcyjnych. Niemniej ludzki dualizm ciała i duszy wciąż jest tutaj wyraźnie zarysowany i tworzy scenografię dla właściwego głównego bohatera – wiersza.

Temat jego powstawania, istnienia i doskonalenia przewija się chyłkiem przez cały tomik i ma szansę ujawnić się dopiero pod jego koniec, jako trzeci (korzystający), obok dwóch bijących się:

„Nie kompiluj Nie dodawaj
Jeśli to ten przeciek
na który czekałeś poczekaj
aż sam coś powiesz”

[Makroetyk, s. 56]

Podmiot otworzył się niczym szkatułka, a z niego za chwilę wystrzelił wiersz i będzie – prawie jak żywy, panie i panowie! – mówił. Zupełnie samodzielnie, mimo że autor niepewnie rozpoczął tomik słowami: „Zacznijmy od nieistniejącej książki”. Czy na tym koniec? Na pewno nie. Może się zakrzusi? Przedstawienie musi przecieć trwać, to najważniejsze. Ale w przerwie i tak trzeba będzie pójść do łazienki, a potem po coś do picia.

Joanna Żabnicka

Książki uporczywe

J.M. Coetzee

Lato. Sceny z prowincjonalnego życia III

przełożył Dariusz Żukowski

Wydawnictwo Znak

Kraków 2010

Liczę, że skoro napisałam ten tytuł, będę potrafiła wreszcie coś napisać o tej książce. Bo dotąd jakoś nie potrafiłam. Może to dlatego, że u Coetzeego żadnego „wreszcie” nie ma, więc jakżebym miała napisać wreszcie? To byłoby co najmniej podejrzane. Trzeba jakoś inaczej.

Jedyne, co mi przyszło do głowy od razu, to ta fraza właśnie: „książki uporczywe”. To się wiąże z tym „wreszcie”. Uporczywość i „wreszcie” nigdy się nie spotykają. Jeżeli jednak przychodzi ukojenie, oznacza to po prostu, że uporczywość była posledniego gatunku. Ta od Coetzeego taka nie jest. Może sam chce to sprawdzić i dlatego eksperymentalnie umiera. To próba ognia. Jeżeli żadne „w końcu” nie zostanie zwabione przez śmierć, najbardziej esencjonalny z końców, to znaczy, że dana uporczywość rzeczywiście godna jest swego miana.